Nasi lokatorowie.

X.

Nasi lokatorowie.

Mogę się poszczycić, że w domu naszym pory ul. Gołębiej l. 5 od chwili wykończenia tegoż zamieszkiwały wybitniejsze rodziny, że wymienię tylko pannę Cecylię Dąbrowską, siostrę generała, z dwoma bratankami: Ludwiką i Maryą i bratankiem Juliuszem, właścicielem dóbr Góry w Miechowskiem, rodzinę Stanisława Starowiejskiego, właściciela dóbr Odrzykoń i Bratkówka w Galicyi, Alfreda Stojowskiego, obywatela ziemskiego z Kongresówki z rodziną, wreszcie kompozytora prof. Władysława Żeleńskiego, Józefa hr. Mycielskiego, prof. Uniw. Jagiell., Stanisława i Jana hr. Tarnowskich. — W r. 1867. Stanisław

Tarnowski wynajął II piętro w domu naszym; mieszkając lat kilkanaście, gościł u siebie wielu wybitnych ludzi, jak n. p. ks. Waleryana Kalinkę, Juliana Klaczko, ks. Kajsiewicza i wielu innych młodych swych krewnych, którzy, jak n. p. Adam Jędrzejewicz, wysokie później zajęli stanowiska w kraju. — Stanisław Tarnowski był mieszkalnym sąsiadem. Ebie grał na fortepianie, spokojny i delikatny, miał wzorowego kamerdynera Filipa, swego brata mlecznego, sługę zręcznego, który od dziecinnych lat aż do swej śmierci wiernie swemu dobremu panu służył. Ile było w krakowskiej arystokracyi matek mających córki na wydaniu, tyle ich wzdychało do „pięknego Stasia", a nie mo-

gać skaptować go sobie na zięcia, poczęły odzywać się o nim z przekąsem, słowem, swo-dze go obgadywać, dziwnie komentować jego wstręt do żeniaczki, gdy nagle padła na Kraków wiadomość z Paryża o zaręczynach p. Stanisława z 17-letnią Różą, córką hr. Konstantego Branickiego. My, choć nam groziła utrata sympatycznego lokatora, zmuszonego szukać większego i wspanialszego mieszkania, ucieszyliśmy się szczerze z powziętej jego decyzji i wyboru.
Zaręczona powróciwszy do Krakowa z matką i obejrzawszy mieszkanie, uznała je wystarczającym, ładnem i słonecznem. Omówiono więc tylko wprowadzić pewne udogodnienia,

odnowić obicia i dodać trochę mebli.
Na czas restauracyi prof. Tarnowski wyjechał
w sprawach Uniw. Jagiell. Meble złożono
w 2 większych pokojach, a dla przejścia ro-
botników oddaliśmy graniczący nasz przed-
pokój na czas restauracyi, której sama
p. Róża codziennie doglądała, objawiając
swoje życzenia. Z wielką uprzejmością za-
prosiła mnie na naradę co do wyboru obić
i szlaków, czego sympatycznej panience nie
odmawiałam. Pewnego dnia, słysząc, że ktoś
z przedpokoju wychodzi, odchyliwszy firankę
na drzwiach szklanych ujrzałam, jak ko-
rzystając z chwilowej nieobecności tapicera
panna Branicka poczęła mierzać ogromną

kopyścią klajster w stojącym na środku pokoju szaflu. Rozśmieszyła mnie ta naiwna zabawa młodziutkiej panienki, więc nie przeszkadzałam jej w tem zajęciu. – Z kiedy przyszło do wieszania portyer, tapicer Wieczorkowski przedłożył zeszyt z najnowszemi paryzkiemi modelami; hrabianka wybrała wzór prosty. Jakież było naraz moje zdziwienie, kiedy ujrzałam portyerę zplisowaną w festony, przytrzymywane ogromnemi, okrągłemi zwojami, jakby głowami kapusty. Na moją uwagę, że to nie jest zrobione według życzenia p. Branickiej, odrzekł p. Wieczorkowski: „Co tam taka „koza” wie co się należy!” Gdy nadeszła hrabianka, przypatrzy-

wszy się wypracowanemu dziełu tapicera, który nie mało strawił na nie czasu, zawołała: „Pięknie, bardzo pięknie i oryginalnie" — ale dodała z miłym uśmiechem — „proszę tak ułożyć portyerę jak wczoraj zadysponowałam." Ukłoniwszy się uprzejmie wyszła. Wieczorkowski pienił się ze złości, narzekając na pańskie grymasy, zdzierał ze złością piękny wzorzysty adamaszek, którego arabeski rzeczywiście w nabitych zezolach ginęły zupełnie. Z drobnego faktu malarzenia się p. Róży wywnioskowałam, że jest osobą energiczną i umie swoją wolę utrzymać — i nie omyliłam się. Pani Tarnowska wzorową była gospodynią i rządną panią domu, mimo bardzo młodego wieku. — Ślub p.p. Stanisła-

nów odbył się w Paryżu z wielką okazałością, poczem zaraz młoda para osiadła w Krakowie, a w rok przyszła na świat pierwsza córeczka Elżbieta, późniejsza piękna hr. Esterhàzy. Pewnego dnia, przechodząc przez długi korytarz, spotkałam z przerażeniem człowieka, niosącego niezwykłej wielkości trumnę na ramieniu, zdążającego do drzwi p.p. Tarnowskich. Zaniepokojona tym niespodziewanym widokiem zdążyłam się zapytać co to znaczy, kiedy młody człowiek, towarzyszący tragarzowi objaśnił mnie z uśmiechem i uprzejmym ukłonem, że przywiózł z Paryża przesyłkę dla hr. Tarnowskiej, że w ogromnem pudle mieści się balowa toaleta ozdobiona stare

mi koronkami tak cennemi, że poczesyłkę towarzyszyć musiał kuryer. Była, to suknia z aksamitu wiśniowego, z długim trenem, przybrana przepięknemi francuzkiemi koronkami, do której to wspaniałej szaty dodano jeszcze w Krakowie cenne zapinki z brylantów. Stwierdzić mi wypada, że był to jedyny zbytek, jaki w ciągu lat kilku zauważyłam u p. Stanisławow. a przytem dar ojca dla córki, która nietylko że dom swój mimo znacznego swego stanu utrzymywała na stopie skromnej, lecz i w toaletach strojnych nigdy nie gustowała i dotąd nie gustuje, jak i jej córki: hr. Esterhazy i Bnińska, natomiast nie żałują ani mienia ani trudu gdy idzie o ulżenie czyjej niedoli. — Jak

za swych kawalerskich czasów prof. Danowski gościł chętnie w swym domu krewnych i znajomych, tak też oboje państwo podejmowali zawsze kogoś z rodziny; niemniej przez czas dłuższy i jakoś wszyscy mieścili się wygodnie a tak dom nasz przypadł im do smaku, że po latach kilku powzięli zamiar nabycia tegoż na własność i stałą swą siedzibę. Już prawie przyszło z ojcem moim do ugody, kiedy hr. Konstanty Branicki ofiarował córce w darze imieninowym pałacyk — niegdyś Chomentowskich — przy ul. Szlak z pięknym parkiem, dokąd się też po wyrestaurowaniu domu i uporządkowaniu wielkiego ogrodu wynieśli. Rodzina powiększyła się o córkę i syna Hieronima. Wielkopańska, szczy-

dencya na Szlaku zajaśniała większym blaskiem i stała się na lat wiele ogniskiem nauki i kultury. Ujemną stroną ładnej siedziby stały się w najbliższem sąsiedztwie będące koszary austryackie. Ustawiczne trąbienie, bębnienie, tumany kurzu, zasypujące tak pałac jak i całe obejście, nie pozwalały się cieszyć parkiem i spokojem. Jakże często wspominali oboje Tarnowscy czasy spokojnego pobytu w domu naszym.
Na początku światowej wojny w 1914 r. Tarnowscy zebrawszy cenne obrazy i przedmioty wartościowe wyjechali do Wiednia, gdzie prof. Tarnowski, mimo swojego

wysokiego socyalnego i naukowego stanowiska, doznał wiele przykrości od Wiedeńczyków, obchodzących się ordynarnie z Polakami ewakuowanymi, z których niemało ciągli uyski a dziś (r. 1920) kiedy wziąwszy w skórę, głodują w swojej wielkiej stolicy, ze smętkiem przypominają sobie czasy kiedy poniewierali nami... Duma poprzedza upadek — mówi Pismo Święte.
Pałac na ul: Montelupich zajęli wraz ze stajniami Austryacy na koszary; stajnie zgorzały a piękne apartamenta zamienione w kordegardę, zanieczyszczone przez wojsko stoją dziś pustką. — Po powrocie z Wiednia, państwo Stanisławowie zajęli dworek Polockich

przy ul: Straszewskiego i tam dokonał peł-
nego zasług żywota prof. Tarnowski.
W ciągu mojego długiego życia, doznawałam
ze strony p.p. Tarnowskich dużo szczerej
życzliwości i względów, co przypisywałam
ich wielkiemu uznaniu i przyjaźni dla
ojca mojego. Dla siebie nic nie potrzebu-
jąc, ileż to wyjednałam łask i protekcyi
dla innych; czy to szło o umieszczenie
ubogich w Tow. Dobroczynności, którego
prezesową po hr. Adamowej Potockiej by-
ła p. Stanisławowa, czy to poratowanie
prawdziwie biednych. Zawsze przyjmowana
z ujmującą serdecznością przez obojga
Tarnowskich, nigdy nie doznałam odmowy-

stolica krakowska miała w nich obojgu obrońców i orędowników.



FOTOGRAFOWAŁ Z NATURY WALERY RZEWUSKI



Mme. Marie de Jordan Stojowski, of Paris, France, mother of the Polish composer, Sigismond Stojowski, who is visiting Mr. and Mrs. Frank B. Melin, of Boston Boulevard.

17

W r. 18?7. po wyprowadzeniu się Stanisława, zajął całe II piętro i część parteru brat jego starszy Jan hr. Tarnowski z Dziko-wa, ożeniony z Zofią Zamoyską, z 3 synami: Zdzisławem, Juliuszem, Adamem i najmłodszą z rodzeństwa Zofią. Natychmiast zaszła w domu naszym wielka zmiana pod względem spokoju, gdyż i służby znacznie więcej przybyło a brakło sprężystego marszałka dworu, jakim był Filip u p.p. Stanisławów. Hr. Janowa, dobra jak anioł pozwalała wiele i była — rzecz można — tak przez dzieci swoje jako i przez służbę zawo-

jowana. Guwernantka Francuzka żywa
jak iskra, elewka Zula, rady sobie dać
nie mogła, a cóż dopiero mówić o zada-
niu p. Dobószyńskiego, zmuszonego bo-
rykać się z tak niesforną trójką mło-
dych Tarnowskich. Każdy niemal dzień
przynosił nowe figle i psoty, niezaz.
dotkliwe dla sąsiadów. Vis-à-vis, w do-
mu narożnym „pod Zającem" zajmowa-
ła I piętro p. Aurelia Zawadzka, pierwsz-
rzędna, naówczas modystka, która tak
do pracy jak i do nauki przyjmowała
panienki tylko z domów lepszych. Mło-
dy ten postanowił zajmować miejsca
przy drugim stole, umieszczonym przy

oknie, dla lepszego światła. Na widok
młodych i ładnych panienek, młodzi Par-
nowscy obojętnymi być nie mogli, na po-
czątek więc rzucano do okna pestki z wiś-
ni tylko, na co dobrze wychowane dziewczą-
tka nie reagowały wcale, co znów paniczów
irytowało; poczęło więc używać pocisków
większego kalibru. Były wówczas w modzie
kapotki z materyi, z jakiej była i
suknia, więc klientki p. Zawadzkiej,
damy z arystokracyi, powierzały jej bar-
dzo cenne materyały i koronki, a zasobny
magazyn dostarczał takie kosztownych
wstążek, tiulów i kwiatów paryskich

do tworzenia istnych arcydzieł kunsztu modniarskiego. Pewnego popołudnia, kiedy panny właśnie rozłożyły na obszernym stole te skarby drogocenne, na najświetniejszą, złotem porztykaną materyę padło z II piętra, vis-à-vis ogromne ciastko francuzkie, z kremem, które rozbryzgując się po stole narobiło ogromnej wprost szkody. Tego już było p. Zawadzkiej zawiele, więc udała się natychmiast do hr. Tarnowskiej ze skargą na swawolę synów, dodając, że pracujące cały dzień panienki nie mogą być pozbawione świeżego powietrza, a nawet zamknięcie okna mogłoby tylko przez wybicie

szyby gorsze sprowadzić skutki. Hr. Tar-
nowska wielce przygnębiona tą wiadomością
o zachowaniu się synków, pragnęła zwrócić
poniesione straty, na co mówi p. Zawadzka
nie przystała, żądając, aby młodzi pono-
wnie nie mieli przystępu do pokoi vis-à-vis
magazynu będących, lecz pozostawali w swo-
jem mieszkaniu od ul. Wiślnej. Z uprzej-
mością hrabina T. obiecała uczynić wszys-
tko co będzie w jej mocy, aby położyć kres
psotom chłopców, lecz poprawa tychże nie-
długo trwała, i doszło do tego, że p. Za-
wadzka zmuszona była przenieść pracow-
nię do innych pokoi, gdzie już bombar-
dowanie dochodzić nie mogło. — Strzela-

nie z drugiego biura pod drzwiami loka-
torów I piętra i parteru zakładanie drutu
w drzwiach pokoju dla służby, która na
odgłos dzwonka spiesząc, wywracała się
w progu, były na porządku dziennym;
bywały jednak i złośliwsze psoty.
I tak: z okna mojego od podwórza
zauważyłam od wczesnego ranka, że Ju-
lek i Stefa podejmują zamach na
czyjś spokój, znosili bowiem paki do
pewnej ubikacyi, znajdującej się na
ganeczku osobnym z wejściem z kory-
tarza i skwapliwie czekali na chwilę,
kiedy staruszka, p. Bogdańska, mieszka-
jąca na I piętrze, prowadzona przez swo

ją pokojową, zamknęła się w miejscu
ustępowem; pokojowa czekała w korytarzu.
Nagle rozległ się krzyk ogromny i starusz-
ka wypadła jak z procy na ganek, oto-
czona kłębem gęstego dymu. Zbiegła
się liczna służba domowa na ratunek,
wystraszonej pani. Śledztwo wykazało, że
chłopcy napakowali do otworu aż po
I p. moc gazet i w danej chwili zapalili,
podkurzając wystraszoną starowinę.
U lokatorów na parterze służyła kuchar-
ka Zofia, baba stara, brzydka, istna
czarownica, intrygantka, złośnica, sze-
rząca w całym domu niesnaski, co jej
nie przeszkadzało wcale w gorliwem wyko-

używaniu praktyk religijnych. Była to typowa, fanatyczna dewotka a zarazem megiera. Była też znienawidzona w całym domu. Pewnego dnia, kiedy Zofia płukała w studni sałatę, stojący na ganku Tadaś Tarnowski począł zaraz drobnymi węgielkami rzucać na babę, czem rozgniewana nie szczędziła chłopcu obelżywych epitetów. „Nie zapominaj do kogo mówisz — jestem Tarnowski” zawołał Tadaś a baba na to: „Ja takiego hrabiego mam w — i propozycyą u ordynarnych a powaśniowych ludzi wyrażaną zwykle tylko słowami, natychmiast czynem poparła... W obrażonym

chłopcu odezwała się teraz krew hetmańska,
porwał więc karafkę, stojącą w lodzie
na ganku i rzucił na złośnicę. Pocisk
był silny, kiedy w murze przeciwległym
wybił mur aż do cegły. Baba cudem uszła,
śmierci, pochyliwszy na czas głowę, z któ-
rej karafka strąciła jej chustkę. Na strasz-
ny krzyk Zofii a także i przelęknionych
widzów, co żyło wybiegło na podwórze i na
ganki sąsiedniego domu. Awantura zwa-
biła ciekawych z ulicy, że bramę zamknąć
musiano. Zofia groziła policyą i sądem —
sprawa zaostrzyła się. Hrabstwo Janowie
bawili tymczasem w Wiedniu, więc uwiado-
miony o zajściu, hr. Stanisław zjawił się

w końcu u mojego ojca, aby zasięgnąć bliższych w tej mierze informacyi a po ścisłem przeprowadzeniu śledztwa wydał wyrok następujący: „Adasiu, wiele psot wam uchodziło dotąd, nawet podkurzenie czcigodnej p. Bogdańskiej były to figle studenckie, ale za narażenie życia ludzkiego kara być musi. Albo wobec świadków zajścia przeprosisz Zosię, albo – chłosta!” Adam bez namysłu wybrał drugie. Żal był doraźny; nie pomogła nasza interwencya – stryj był niewzruszony. Żal mi było ambitnego dzieciaka, więc wyszłam z domu na czas egzekucyi. Lokaj i pomocnik trzymać

chcieli chłopca na ławie, lecz ten kuląc się nie pozwolił. Wykonawcą był Filip, kamerdyner hr. Stanisława, który nie polecił nie żałować siły i rózgi. Zośka na schodach z lubością wyczekiwała jękom delikwenta, ale chłopak ani pisnął… Ominęła więc babę satysfakcya a ujęta zupełnie sutym datkiem zaniechała skargi w sądzie.
Że plagi nie były czczą tylko formą dowodziło to, że kilka dni siedzieć nie mógł a zawstydzony mało się ukazywał. Od tego czasu zapanowała względna cisza w domu. Jak rodzice po powrocie zapatrywali się na wyrok p. Stanisława, nie jest mi wiadomem. — Córka Tarnowskich, Zu-

la w żywości nie ustępowała braciom i srogie niewraz z nimi musiała staczać walki; nawet ja interweniowałam w zatargach, które się przenosiły na schody i korytarze. Pewnego dnia przywieziono wielką beczkę wody wiślanej do prania. Dziewczynka ledwie wóz zoczyła, zbiegła na dół i skorzystawszy z chwilowej nieobecności woźnicy wskoczyła na beczkę jak na konia po męsku i nuż konia biczyskiem poganiać, ale szkapa nie raczła i ledwie że o jeden dom dalej ruszyła się z miejsca; gdyby nie to, dziś niechybnie byłaby pognała na ul. Bracką a może i Rynek jak Bachus na beczce. Nier-

ne to było dziecko i z temperamentem nieco dzikim. Mimo wszystkie te wybryki lubiliśmy całą czwórkę rozwichrzoną a Aula była faworytką mojego ojca. Chłopcy wyszumieli i - jak wiadomo - wyszli na wybitnych obywateli kraju. Zofia, - dziś hr. Stemiń-ska - Lewicka - zacną i rozumną jest niewiastą, synów wychowała wzorowo a w czasie ostatniej wojny światowej ciężkie w obawie o nich przeżyła chwile. Byli oni lotnikami i odznaczyli się nadzwyczajnem męstwem, budząc podziw i szacunek u nieprzyjaciela. Jeden z nich powrócił ciężkim kaleką a owa kiedyś tak beztroska Aula drugie miesiące patrzyła na męczarnie sy-

na, pielęgnując go. W poważnej, oświa-
tej kobiecie, niktby się nie domyślił
jej burzliwego dzieciństwa...
W czasie długiej choroby i po śmierci
kochanego mojego ojca, doznałam od
rodziny hr. Janów Tarnowskich dużo
szczerego współczucia, a kiedy z lat kilka
sama zaniemogłam ciężko i stan mój
stał się groźny, dobra p. Tarnowska za-
rządziła w domu modły na moją intencję,
w których w oznaczonej godzinie cała
służba brała udział. Uważałam za ko-
niecznie powtórzyć ten fakt, dowodzący
nie tylko bogobojności ale i dobroci serca
zacnej mojej lokatorki — i wdzięczna jej

jestem i pozostanę do końca życia.
Lata pobytu w domu moim hr. Tarnowskich dla nich samych jak i ich dzieci wi-
docznie pozostawiły sympatyczne wspom-
nienie, gdyż młodzi, przechodząc sami lub z żonami ul: Wiślną albo Gołębią, zawsze z żywem zajęciem spoglądali na dawne swe mieszkanie, a i po latach wielu p. Siemieńska pozyszedłszy wraz ze swo-
ją bratową, Adamową Tarnowską na nasze podwórze, pokazywała jej z rozweseleniem arenę swych dziecinnych igrzysk.
W końcu zaznaczyć mi wypada, że rodziny Tarnowskich odznaczały się rzadką u naszej arystokracyi a właściwie u pseudo-arysto-

kracyi względem arystokracyi i burżuazyi okazywana miłą prostotą i ujmującą serdecznością. Wyjątek nieco śmieszny stanowił p. Dobrzyński (późniejszy adwokat i poseł). Widocznie zawróciła mu głowę zaszczytna posada wychowawcy hetmańskich potomków... P. Dobrzyński przybierał zawsze jakieś porządne alury, kiedy w jakiejś misyi bywał z polecenia p.p. Tarnowskich. Była to słabostka, z której zapewne wyleczył się z wiekiem... Wszyscy zresztą jego ekwi... zaszczyt mu przynieśli. -
Po skończonem 6ciolet niem zamieszkiwaniu w domu naszym, kiedy p. Jan Tarnowski został marszałkiem Galicyi, zamieszkali hr. Tar-

33

nowscy vis-à-vis, w pięknie odnowionym domu Juliusza Dembińskiego przy ul. Wiślnej (dziś Polska Kasa Pożyczkowa)

Stojowscy

Alfred Jordan Stojowski, najstarszy syn starszej siostry mojej matki Karoliny z Zamojskich i Hipolita Stojowskiego, właściciela dóbr Krasocin w Kieleckiem, lat kilka służył w pułku kirasyerów im. carowej Maryi, żony Aleksandra II w Petersburgu, gdzie jako młodziutki oficerek pełnił często

służbę w pałacu cesarskim. Z tego czasu miał wiele interesujących rzeczy do opowiadania, rzeczy ciekawych, bo malujących życie pełne intryg, zbytku i najstraszliwszej korupcyi rosyjskiej: społeczeństwa i trzeba było niemałej siły woli, aby się oprzeć rozlicznym pokusom i sidłom, zastawianym przez zepsute dwórki na młodziutkiego i niezwykle pięknego Polaka. Alfred bez żalu strzepnął proch petersburskich salonów ze swego obuwia, a osiadłszy na rodzinnej glebie stał się wzorowym ziemianinem. Wielce sympatyczny, energiczny i ruchliwy młodzian pozyskał ser-

ce Maryi, córki Łucji z Wasiutyńskich
i Karola Bogdańskich, właścicieli dóbr
Strzelce w Stopnickiem, gdzie młoda pa-
ra po ślubie w r. 1860 osiadła.
Marya Stojowska obdarzona dużym talen-
tem muzycznym była pianistką, uczenni-
cą słynnego w owym czasie paryzkiego Chi-
tolfa. Będąc panną miała wysokie aspira-
cye artystyczne, marzyła o karyerze wirtuoz-
ki, czemu się ubóstwiający swoją jedynacz-
kę rodzice nie sprzeciwiali, kiedy pojawie-
nie się pięknego Alfreda rozwiało marze-
nia panienki. Wyszedłszy za mąż porzu-
ciła młoda Marya górne plany dla obo-

wiązków żony, matki i gospodyni, nie za-
niedbując przytem ani na chwilę muzyki.
Stojowscy mieli 2 synów, między który-
mi było 9 lat różnicy. Starszy Wacław po-
trzebował już szkoły, kiedy mały Zygmunt,
śliczne dziecko lecz bardzo wątłego zdrowia,
potrzebował dłuższej i ciągłej opieki lekar-
skiej. Stojowscy powzięli zamiar zamiesz-
kać w Krakowie i wynajęli w domu na-
szym I piętro. Oboje ludzie światowi i
młodzi jeszcze, pragnęli stworzyć w mieś-
cie naszem ognisko muzycznej rozrywki.
Marya Stojowska uważając że arystokra-
cya nasza jest nieco ekskluzywną i że
sfery inteligencyi nie tworzą zwartego to-

ła, spróbowała uczynić muzykę łącznikiem towarzyskim, co jej się też choć powoli lecz mozolnie udało. Dużo też pomogły jej w tem osobiste jej zalety.

Dom Stojowskich stał się ogniskiem, przy którem stopniały lody, dzielące arystokrację od mieszczaństwa. Wysoko urodzeni przekonali się, że nietylko podając rękę w grande chaine, w kadrylu na wielkich balach można się bez wstrętu zetknąć z burżuazyą, ale także w ich towarzystwie przepędzić godzin kilka w tygodniu przyjemnie, bez ujmy klejnotom herbowym. Wiele oporu stawiały początkowo pół-arystokratki z Podola rosyjskiego, które zwa-

no w Krakowie „mennosami." Takie i nasze, bliższe Krakowa szlachcianki, próbowały choćby zimną miną okazać swoją wyższość, lecz widząc, że nikt sobie z tego nic a nic nie robi stały się powystępniejszemi w końcu. Wyjątek jedyny stanowiła zawsze stara już dama, doktorowa z Dąbskich Wożniakowska. Siedząc dawnym zwyczajem na kanapie, niechętnem patrzyła okiem, kiedy ktoś nienależący do arystokracyi próbował zaczać z nią rozmowę. Znaną już była ogólnie z tej swojej słabostki, tak, że zostawiano ją w spokoju. O tej pani opowiadał zawsze krotochwilny Władysław

Żeleński, że kiedy była na audyencyi u Papieża Piusa IX, przedstawiający ją jakiś monsignore wygłosił: „Signora Woźniakowska di Cracovia," przerażona głośno dodała: „née Dąbska," na co Papież odpowiedział: „fiu! fiu! fiu!"
Piątkowe zebrania w salonach Maryi Stojowskiej przez lat wiele były środowiskiem życia kulturalnego w Krakowie. Wieczory upływały nietylko na muzyce, ale i na swobodnej i miłej pogadance. Zwykły zespół muzyczny stanowili fortepianiści: Alfred Kołaczkowski, Franciszek Bylicki, Bobiński, radca Łoziński, Władysław Żeleński, starościna z Mikuliczów Zbo-

rowska, Antoniowa z Rakoszewskich hr. Potocka i pani domu, skrzypkowie: Górski i Wincenty Singer, wiolonczeliści: Sandor i młody Zboucki; śpiewaczki: pani Małachowska, Michałowska, p.p. Wiedzielscy, p. Giustiniani i w. in. Z przejezdnych artystów dali się tam słyszeć: Michałowski i Paderewski. Wymieniłam tylko zawodowych muzyków, gdyż niepodobna mi jest wyliczyć tyle innych jeszcze amatorów i amatorek, uprzyjemniających ładną i poprawną grą wieczorne zebrania.
Z osób, które przez lat wiele spotykałam w salonie Stojowskich, wymienię tylko

bliższej mi znanych; byli to: prof. Józefo-
wie Łepkowscy, prof. Strujscy z córkami,
p. Chłopicka z córkami, Tarnowscy Janowie
i Stanisławowie, p. Tadeuszowa Tarnowska
z córką, Wincentowie Rapaccy, Bałuccy Mi-
chałowie, prof. Krzymuscy Edmundowie,
prof. Adamkiewiczowie, Mycielscy Feliksowie,
rzeźbiarz Gadomski Walery z żoną słynną
z piękności, ks. Druccy-Lubeccy, hr. Kosio-
wa z córką, p. z Czetwertyńskich Mara-
kis, Zabiełłowie, Prozorowie, Dembiccy,
Janowie Matejkowie, generał hr. Degenfeld
z żoną i pasierbicami, margr. Pallavicini,
hr. Załuska z córkami, prof. Bochenkowie,
Władysławowie Żeleńscy, p. Tetmajerowa

(matka poety) Tadeuszowie Rutowscy, bar. Kazimiera z Kellermannów Baumkidy, ze Stanowskich Julianowa Kirchmayerowa z córką Salomeą, z Siemieńskich Chojecka, Józefowie Mecińscy z Pasłynia, Stadniccy z Drogini, Lutosławscy, dr. Szewczyk z żoną, Miljewscy z Piekar, Antoniowie Potoccy z Olszy, Henrykowie Kieszkowscy, Oreliegowie z córką, p. Józefowa Kirchmayerowa z piękną córką Melanią, piękna panna Stanisława Bieżyńska z Kielc, Antoniewiczowie i w. in. Młodzieży doborowej, cpuserów pożądanych wszędzie i kawalerów na pięknych stanowiskach była zawsze ilość spora, więc

dziwić się należy, że z tak licznego koła tak mało skojarzyło się małżeństw. O ile pamiętam, cztery były mariaże: hr. Tarnowskiej z hr. Januszem Tyszkiewiczem, z Kolbuszowej, malarza Tadeusza Ajdukiewicza z Salomeą Kirchmayerówną, Tadeusza Rutowskiego z kuzynką Stojowskiej, Jadwigą Bogdańską i malarza Giustinianiego z p. Zabiełłówną.

W mniej uczęszczanym piątki nie gardzono nawet grami naiwnemi, n. p. sekretarzem, przy którym tryskał nieraz cięty dowcip, nie wywołując jednak żadnych animozyi. — Alfredowie Stojowscy byli dobrane

stadłem choć wprost przeciwnych usposo-
bień. On człowiek energiczny i nieco rap-
tus, ale żona zrównoważona. Umiała godzić
wybornie męża wybuchowe usposobienie
swoim spokojem. Czasem śmieszne stąd
wypływały zdarzenia. I tak n. p. pan Elf-
fred, aczkolwiek mąż pianistki i lu-
biący dobrą operę i muzykę lżejszą,
mało miał się na klasycznej, a już „ża-
łośliwych tonów" — jak mówił — nie
lubił. Pamiętam jak pewnego dnia Sło-
jowska siadła do fortepianu i zaczęła
grać. Czytający książkę w sąsiednim
pokoju p. Elfred uchylił drzwi z prośbą,
aby przestała grać żałobnego marsza, ale
żona grała dalej. Po chwili p. El[illegible]

już mocno zirytowany powtórzył prośbę, ale pani grała dalej. W końcu zawołał: „Marysiu, przestań grać tego żałobnego” marsza Chopina — wiesz, że tego nie lubię i że mi się zdaje iż jestem na pogrzebie.”
Ale ona, grając spokojnie dalej, odpowiedziała: „Uspokój się, to nie marsz żałobny, ale „Dzwon Zygmunta” Świetońskiego” na co p. Alfred odrzekł: „Ach, to przepraszam cię Marysieczko”.
Alfred Stojowski zawołanym był gospodarzem, a objąwszy w dzierżawę klucz Stopnicki od donatariusza generała rosyjskiego podjął zadanie nielada, wymagające ogromu pracy, ścisłego dozoru i energii.

Dobrawszy sobie ludzi, równie jak on sam tęgich agronomów, wziął się do dzieła, które przyniosło mu w przyszłości zysk wspaniały. Alfred zjeżdżał do Krakowa na Boże Narodzenie i Wielkanoc a tylko w zapusty przebywał dłużej w mieście i oddawał się życiu towarzyskiemu, które lubił. Człowiek urodziwy, światowego poloru, elegancką był postacią i wielce dbał o swą powierzchowność. Ubierał się zawsze u pierwszorzędnych krawców a o swoje rzeczy dbał bardzo i osobiście doglądał ich czyszczenia i konserwowania. Na tym punkcie był pedantem – a nawet nudziarzem. Kiedy

pojechał do Krakowa, i brał klucz do ręki aby otworzyć szafę ze swoją najlepszą garderobą, dostała skórą na początku szczęścia, Stanisławie Rychlewskim, młodym chłopaku. Jakoż zaraz rozpoczęły się fukania pod adresem Staśka, że w szafie wisi wszystko nie tak, jak p. Alfred zdjechał, że rzeczy się pomięły i t. p. narzekania. Lecz te pomruki nie trwały nigdy długo a służba cała przepadała za swoim dobrym i sprawiedliwym panem.
Któregoś lata Stojowscy bawiąc na kuracyi w Spaa, zapoznali się w powrotnej

drodze w garderobę, z której wyrobu sły-
nie Bruksela. P. Alfred nie mógł do-
syć się nacieszyć wygodnym krojem
swego frakowego garnituru, to też po za-
pustach wybierając się na wieś, tak
zwykle wręczył również klucze od wszel-
kich sepetów w swoim pokoju, z wyjąt-
kiem klucza od szafy z sukniami,
który tymczasem zaniósł schować
tak dobrze, żeby go nikt nie znalazł.
Na uwagi żony, że mogą z wiosną wdać
się mole, odrzekł: „Już i temu zapo-
biegłem." Szanując wolę męża, Stasiow-
ska przy gruntowniejszych porządkach

w jego pokoju, stosowała się do jego życzenia. Nadeszła Wielkanoc. Było zwyczajem, już w Krakowie, że w pierwsze święto o 1.w południe czcigodna hr. Arturowa Potocka z rodziną przyjmowała w pałacu „pod Baranami" prawie cały kulturalny Kraków. Licznie i chętnie spieszyli Krakowianie podzielić się jajkiem święconem z sędziwą opiekunką naszego grodu. Bywali tam też i Stojowscy. Alfred Stojowski zdawna był Prałatem na sam dzień niedzielny. P. Alfredowa stała już gotowa do wyjścia, w strojnej tualecie i zapinając rękawiczki czekała na

ubierającego się męża, że wyśpi się sobie spokojnie, kiedy nagle w letniej świeżej taratatce jak bomba wpadł p. Alfred, niosąc w ręku bruksełski frak, z którego wypadały maleńkie, obrzydli we jakieś stworzenia. W rękawie mysz zrobiła sobie gniazdo!! „Jak mogłaś dopuścić do tego cherubinie" — zawołał zaperzony Alfred. „Któż tak schowałeś umyślnie klucz od szafy" — odrzekła żona z flegmą, zdejmując rękawiczki. Opamiętał się zagniewany p. Alfred, żal mu się zrobiło że ją pozbawił uczestniczenia w święconem „pod Baranami."

Sytuacya zdawała się być bez wyjścia. Sklepy i pracownie pozamykane, pożyczyć fraka na dość, szkoda już figury p. Alfreda trudno było w tak krótkim czasie, ale spróbować nie zawadziło, więc Alfred udał się do prywatnego mieszkania swojego krawca, Kiperzyńskiego, który otworzył mimo święta magazyn, wynalazł jakiś trochę przyciasny, lecz modny frak i oboje Alfredowie wyruszyli wreszcie „pod Barany” on przyśpiewując sobie małą piosenkę:

Ej! ostrożnie koło ściany,
Bo to fraczek pożyczany..

Uszkodzony przez myszy frak doprowadził p. Lipczyński do porządku a Alfred klucza od szafy odtąd już nie chował.—

Któregoś roku zaproszeni byliśmy na wieczerzę wigilijną do Słojowskich. Pan domu przywiózł ze Strzelec, wspaniałe okazy ryb, któreśmy żywe jeszcze podziwiali dnia poprzedniego. Kiedyśmy wraz z innymi gośćmi w osób kilkunaście zasiedli do stołu, podano wiejskim zwyczajem aż 3 zupy: rybną, barszcz i migdałową. Ci, co tę ostatnią wybrali niemiłego doznali smaku, znalazłszy w słodkiej zupie zamiast rodzynków -

słone kaparki. Wobec dobroci innych np
wybaczono kucharzowi pomyłkę, zwłaszcza
kiedy następne danie, olbrzymi szczu
pak w majonezie, wyborny się okazał.
Na trzecie danie wniesiono wspaniałe kar
pie w polskim sosie. Wiadomo, że u tej
ryby głowa jest najwięk szym przysma
kiem, toteż prawdziwi amatorowie i
znawcy po głowy sięgali skwapliwie. Tu
zawód czekał ich nielada, skoro z pod
warstwy sosu bogatego i wybornie zotsz
tą przyrządzonego ukazały się ich ogrom,
chude, szczupacze głowy. Gospodarz już
zupą migdałową z kaparkami poirytowa-

ny, teraz zerwał się i popędził do kuchni
z myślą potyrpania, podchmielonego w-
doczesnie, kucharza za jego niefortunne
kombinacye potraw, ale już go na stano-
wisku nie zastał, gdyż Słojowska zna-
jąc krewkość męża, zaraz po katastrofie
z zupą migdałową, domyślając się że
kucharz ma w czubie, dała stróżącemu
ciche zlecenie, aby winowajcę natych-
miast wyprowadzono z kuchni i zamknię
to w miejscu bezpiecznem przed gnie-
wem p. Alfreda. Stary kucharz nie był
wcale nałogowym pijakiem a przeciwnie
starym i wiernym sługą, wybaczono mu

więc wyjątkowe zamroczenie świąteczne. Smażeniem linów i karasiów zajęła się pomocnica i wieczerza pory omawianiu innych dentli dobiegła szczęśliwie do końca. Co się stało z karpiowemi głowami pozostało nie wyjaśnione....

W r. 1885 w przejeździe do Francji zatrzymał się młody Ignacy Paderewski w Krakowie i jak zwykle wszyscy artyści-muzycy czynili, złożył wizytę w domu Stojowskich. Po obojętnem przyjęciu, jakiego doznał był w Warszawie, nie miał zamiaru wystąpić z koncertem. Uprosił go jednak Władysław Żeleński aby zechciał zagrać na wieczorku w Tow. muzycznem.

Tegoż dnia wpadła do mnie Stojowska z paczką biletów, prosząc, abym takowe rozdała między znajomych, żeby salka nie świeciła pustkami, co byłoby afrontem dla artysty tej miary jak Paderewski. Dobra ta kobieta ze swej strony zmobilizowała swoich znajomych, o ile krótki czas pozwalał. Sala zapełniła się doborową publicznością a ukazującego się koncertantę, znanego nam tylko z pierwszych jego utworów, przyjęliśmy (na złość Warszawie) gromkimi oklaskami. Paderewski liczył lat 21 i był już wdowcem i ojcem kilkomiesięcznego synka. Postać artysty wywarła na nas niezwykłe

wrażenie. Wysoki, bardzo szczupły, o twa-
rzy bladej, tchnącej jakimś zagadkowym
wyrazem, o ryżej bujnej czuprynie, zacie-
kawiał nas w wysokim stopniu, tak, że
z niecierpliwością wyczekiwaliśmy na roz-
poczęcie gry. Z Franciszkiem Bylickim
zagrał na 2 fortepiany „Tańce góralskie”.
Poznaliśmy więc równocześnie w osobie Pa-
derewskiego artystę-kompozytora. Odczu-
wając zapał słuchaczy grał sam dużo
nad program. Oczarowani opuściliśmy
salę i chyba nawet najniemuzykalniejszy
ze słuchaczy nie żałował, że mu danem
było tak niespodziewanie być uczestni-
kiem biesiady artystycznej, która tak

jak i ja, dotąd zapewne pamięta... Przez dni kilka bawił jeszcze Paderewski w Krakowie, całe wieczory przepędzając u Stojowskich i tu dopiero, w małym kółku słuchaczy odczuło się w całej pełni genialnego, natchnionego artystę. Od tego pobytu w Krakowie zadzierzgnął się węzeł przyjaźni między artystą a rodziną Stojowskich, przyjaźni wiernej, trwającej do dnia dzisiejszego (1920) między Zygmuntem Stojowskim a Paderewskim. W stosunku ich nie było nigdy zazdrości, tej głównej wady muzyków, przeciwnie, obaj poddawali krytyce swoje utwory, ufni i polegający na wzajemnem zdaniu. – Z Kra

kowa udał się Paderewski wprost do Paryża, gdzie odrazu pozyskał uznanie, objął w Strasburgu posadę dyrektora konserwatoryum, a po pierwszej tournée europejskiej zdobył sławę najpierwszego pianisty. W Ameryce obaj przyjaciele w czasie wojny światowej szeregiem koncertów i propagandą za swoim krajem rodzinnym przysporzyli Polsce nie tylko złota, ale i sympatyi niemało, a czem stał się Paderewski dla swej odradzającej się ojczyzny wiemy dziś wszyscy; obyśmy tylko wszyscy umieli ocenić i uczcić zasługi tego genialnego artysty-obywatela. —

O wybitnym muzyce

nym talencie, małego Zygmunta Sto-
jowskiego wiedzieliśmy tylko my najbliż-
si, że uczy się grać, od Alfreda Kołacz-
-kowskiego, i Wachseckiego. Podczas mu-
zycznych wieczorów nawet nie mówiono
nigdy o malcu, bo matka nie chciała
chwalić się przedwcześnie swojem, cu-
downem dzieckiem. Tem większe goście
odnieśli wrażenie, kiedy w programie
jednego z wieczorów umieszczona została
wzmianka następująca: „Trio na forte
pian, skrzypce i wiolonczelę Zygmunta S."
Wykonana została ta pierwsza kompozycja
10letniego malca, przez Kołaczkowskiego,

Singera i Kątskiego. Był to krótki, nie łatwiejszy kawałek, lecz widać w nim było twórczą zdolność. Kompozytor słuchał tej produkcyi w drugim pokoju, a usłyszawszy głośne „bravo" uciekł co tchu do swego pokoju. Uznanie nie zbiło chłopczyny z zarozumienia. Po kilku latach nauki u Wład. Żeleńskiego wyjechał Zygmunt w r. 1887 z matką do Paryża, gdzie kształcił się dalej i jako laureat tamtejszego konserwatoryum [illegible] liczne koncerty po Europie, wszędzie, nawet u Niemców zdobywając uznanie, a w końcu idąc za radą Paderewskiego

koncertował z powodzeniem w Ameryce, gdzie nareszcie w N. Yorku ofiarowano mu w konserwatoryum profesurę gry forte-pianowej i muzyki. — Bawiąc z synem w Paryżu Stojowska co rok przyjeżdżała do kraju w czasie wakacyi dla widzenia się z rodziną.
Któregoś roku przyjechał z nimi sławny już Paderewski z zamiarem koncertowania w Krakowie. Stanęli wszyscy w niewielkim lecz pierwszorzędnym hotelu „Victoria" przy ul. św. Anny. W dzień koncertu zeszliśmy się na wieczorną herbatę u Stojowskich; kółko było małe, składało się z Paderewskiego, znakomitej pianistki

Anny z Łukaszewskich hr. Antoniowej Potoc-
kiej z Olszy i równie słynnej jak wyżej wy-
mienieni, choć w innym zawodzie: Lucyny
Ćwierciakiewiczowej (Autorka „366 obiadów" i „Je-
dynych praktycznych przepisów") Takie upły-
nęło lat kilka, ujrzała Paderewskiego!
Nie było już u niego ani śladu owego smęt-
ku, zadumy i zamknięcia w sobie, które
dawniej czyniły go tajemniczym. Światowiec
pierwszej wody, szykowny i wesoły, skrzący
dowcipem, bez śladu zarozumiałości a prze-
ciwnie natury w obejściu, nieprzeparty wywie-
rał urok. Ledwie usiedliśmy do herbaty, po-
biegł Paderewski do swojego numeru i przy-
niósł dla pokarania nam kasetę z przybo-

rami tualetowemi, świeżo otrzymany w Londynie dar którejś z książęcych rodu królewskiego. Było to kosztowne i bardzo piękne cacko, dużej artystycznej wartości. W safianowym futerale, kaseta, z jakiejś kosztownej skóry. zawierała wewnątrz bardzo ozdobnie grawirowane, szklane flakony, puszki z misternemi ramkami ciągami, podobno ze szczerego złota z inicyałami Paderewskiego. Grzebienie i rozliczne drobiazgi z kości słoniowej, wonne pasty, pudry i perfumy angielskie zapełniły zapachem całe mieszkanie. Ten istny magazyn przyborów tualetowych zachwyciłby musiał najwybredniejszą elegantkę. Kiedyśmy chwalili

zust z ofiarodawczyni, rzekł obdarowany:
„Widocznie Lady zauważyła, że ja potrze-
buję upiększenia, skoro mi tyle kosme-
tyków nagromadziła." Zaprotestowaliśmy
głośno wszyscy temu twierdzeniu, ale
ja n.p. wyznaję, niesłychanie bujna czu-
pryna zcała nie zachwycona pomyślałam
z żalem, jak to prędko połamią się na
niej cenne grzebienie.
Zabawa, spędzona przy herbacie upłynę-
ła szybko; ubawiliśmy się istnym turnie-
jem dowcipu, między Sładkowskim, a p. Świer-
ciakiewiczową, dowcipu tak różniącego się;
z jednej strony nadzwyczajna subtelność,
z drugiej przy przymieszce rubaszności żar-
tobliwa ciętość w odpowiedziach naszych.

miastowych, z której tak, jak i z prawdo-
mówności słynęła w Warszawie popularna
p. Łucyna. Kiedy Świerciakiewiczowa uczy-
niła jakąś aluzję do sławy Paderewskiego,
on rzekł: „Pani szanowna: czemże są mo-
je muzyczne sukcesy wobec sławy pani. –
Ileż to mężów, których żony dzięki pani
mają się na kuchni, błogosławi i po
wsze czasy błogosławić będzie działalność
pani, kiedy już może moją muzykę zapo-
mną." Słowami temi zupełnie nie zde-
tonowana p. Łucyna, odrzekła: „Ktoś po-
wiedział, że droga do serca mężczyzny pro-
wadzi przez żołądek; do tego zdania za-
stosowałam moją działalność; ty zaś mistrzu
grą i twórczością swoją trafiasz do dusz.

i serc wszystkich ludzi. Mamy więc oboje pewne, choć różne, zasługi." Tu Paderewski poważnie, i z uczuciem ucałował rękę sędziwej sąsiadki i rzekł: „A działalność pani w r. 1863? Czyż Warszawa mogłaby zapomnieć o niej? Ja dla mojego kraju rodzinnego nic nie zrobiłem." „Ale masz przed sobą długie jeszcze życie," – rzekła, jakby w przeczuciu dzisiejszych czasów (1920 r.) świetlanej przyszłości.

Żeleński

W r. 1887 zajął w domu naszym II piętro Władysław Żeleński z rodziną. Znowu więc rozbrzmiewała piękna muzyka w naszych murach –

rach. Ale nie słoty — i mury — po[illegible] odżyła takie tradycya. Z Tarnowskich w osobach kilku synów p. Władysława, obijaków co się zowie. Jak z rogu obfitości posypały się w szkole skargi na ich mniej lub więcej niewinne figle i psoty. Sytuacya o tyle była groźniejsza, niż na Tarnowskich, że trzeba było wszystkie sprawki ukrywać przed popędliwością ich ojca, który — jak p. Żeleńska utrzymywała, gotów był w pasyi zabić chłopaka, a także, że młodzi Żeleńscy urządzili sobie bateryę pocisków od więcej uczęszczanej ul. Wiślnej i groźniejszą posługiwali się amunicyą. Tak pewnego dnia rzucili ostro zakończoną szczotkę do panience przechodzącej damie na głowę

z krwią zalaną twarzą wracała sidaczka do naszego domu z krzykiem i płaczem. Opatrzona przez nas prowizorycznie, wielce [illegible]towana dama udała się nazajutrz wprost na policję, gdzie ją uściskała p. Żeleńska, prosząc łagodzić umorzyła sprawę. Zraniona dama była córką, wielce muzykalną, należała wraz z mężem do obecnego Tow. muzycznego – obaj byli gorącymi zwolennikami twórczości Wł. Żeleńskiego, więc gdy się dowiedzieli że [illegible] młodej damie wyrządził jeden z synów znakomitego muzyka, odstąpili od skargi. Jak to zauważałam dobrej mocy ci wpłynęło na złagodzenie gniewu, jak a na-

wet bólu dotkliwego u młodej i przystojnej kobiety. Za dodać trzeba, że ranny był też nad okiem dość głęboko i mój pocisk rzucony z impetem łatwo pozbawić go oka.

Mieszkając w domu naszym napisał Żeleński swoją Balladynę i zwykł był o tej wieczór zasiadać do fortepianu dla pograania tego co przez dzień skomponował co znowu trapiło moje córeczki niemało dosięgło, gdyż usnąć nie mogła, więc zniecierpliwiona zawołała: „Wenn der alte Żeleński mit seiner verfluchten „Balladyna” nicht bald fertig wird, kratze ich ihm die Augen aus.” — Żeleński był i jest jeszcze oryginałem i weredykiem. Tak gra-

jąc pewnego wieczora u ks. Marcelinów Czartoryskich jakieś trio między jednem a drugim cześcią wstał z krzesła i wyszedł do księżnej i zachwyconych partnerów: „Zaraz pójdę do domu na kolacyę — proszę na mnie poczekać.” Księżna nie brała do serca tej pauzy i przymówki co do jej kolacyi z ciekawemi słuchaczami i cierpliwie wraz z całem towarzystwem na powrót mistrza czekała.

Najstarszy syn Żeleńskiego, Stanisław, z zawodu inżynier posiadał przy tem bez słuchu głos tenorowy. Gdy raz była mowa o wielkich sukcesach śpiewaka Battistiniego w młody Żeleński rzekł: „ja gdy-

by się mógł poświęcić muzyce i popraco-
wał nad wyrobieniem swego głosu, dopro-
wadziłby lekce do wysokiego stopnia
swój talent, ojciec mu odpowiedział:
„Mój Stasiu!, co ci się równać się z Batti-
stinim, dał ci Bóg głos być [illegible] Batti-
stinim”. — Stanisław zał. założył fabry-
kę witraży, która wcale dobrze prospero-
wała, lecz wojna w r. 1914 wcieliła w swo-
je szeregi szefa fabryki, który jako ofi-
cer w pułku ułanów austriackich zginął
pod Lublinem, pozostawiwszy żonę z domu
Madejska i 2 synków. Szkoda dla kraju
bo był to człowiek zdolny, pracowity i pe-
łen inicjatywy w przemyśle krajowym.
Średni syn Władysława A., Ludwik.

odebrał sobie życie. a najmłodszy Tadeusz. dr. med. założył w Krakowie wielce pożyteczną instytucyę dla dzieci, pod nazwą „Kropla mleka" i prowadził takową wzorowo, ale i to zawierucha wojenna unicestwiła. Tadeusz ożeniwszy się z p. Pareńską porzucił medycynę i pod pseudonimem Boy'a stał się znakomitym tłumaczem Moliera, Musseta i in.

Władysław Żeleński

Ur. 6 lipca 1837 r. — um. 23 stycznia 1921 r.

Nie w muzycznych środowiskach [illegible] Polsce trzy największe talenty kompozytorskie ubiegłego stulecia: Chopina, Moniuszki i Żeleńskiego. Nic nie predestynowało ich do [illegible] muzyków, o którym nikt nie myślał, ani w Żelazowej Woli, ani w Ubielu czy w Grodkowicach. Bach, Mozart czy Beethoven dziedziczyli po dziadkach i ojcach muzyczne talenty i wychowywali się na muzyków, aby mieć w rękach jakiś »fach« i kawałek zeń chleba i terminowali w domu w rodzinnem rzemiośle. U Moniuszków czy Żeleńskich mogła pojawić się inklinacya muzyczna u któregoś z członków rodziny, ale do rozbudzenia jej aż do tych rozmiarów, ażeby zawładnęła całą istotą jego, nie było żadnej racyi. Były raczej powody do tamowania takiego popędu. Wyjątkowe więc były warunki, w jakich krystalizowało się powołanie kompozytorskie twórców »Halki« i »Goplany«. Z nieprzepartą siłą objawiło się zamiłowanie do muzyki u Żeleńskiego w najwcześniejszem już dzieciństwie. Cały zasłuchany w muzyczne szepty natury, rozpływający się w marzeniu dźwiękowem, przetapiał każde wrażenie w tony. Żył w ciągłem upojeniu muzycznych inspiracyi, w czystem upojeniu dyonizyjskiem. Ktoś z ludzi jego pokolenia mówił mi, że nieraz widział, jak Żeleński chronił się przed zgiełkiem zabawy na przerwach szkolnych w spokojny kąt podwórza gimnazyum i oparty rękoma o studnię, jakby w transie muzycznym, [illegible] palcami akordów, które mu przepływały w jego mózgu. Ktoś inny wspominał mi o latach studyów paryskich Żeleńskiego, o zebraniach koleżeńskich w kawiarniach, z nim i Gottigenem. Żeleński nigdy nie mógł doczekać do końca, to zawsze [illegible] godziny drugiej lub trzeciej w nocy. Spieszno mu było wracać do domu. [illegible] pójścia, o pierwszej... A potem, kiedy przyjaciela wracali do domów, zawsze niemal natrafiali na oświetlone okna Żeleńskiego, pogrążonego w [illegible] muzycznej pod dzwonem, na [illegible] muzyki [illegible], [illegible] własne tematy. A my [illegible] Żeleńskiego, [illegible] nie starzejącego się człowieka, [illegible] w melodye, które [illegible] i wyrażającego [illegible] rytmy [illegible] nieustannie. Muzyka była jego żywiołem, [illegible] nie mógłby żyć ani chwili, krążyła w jego krwi, zapełniała każdą komórkę jego jestestwa.

Z taką predyspozycyą natury musiał [illegible] muzykiem zawodowym. W Krakowie uczył się, dzieckiem jeszcze będąc, u Franciszka Mireckiego. Kierownik krakowskiej szkoły śpiewu należał Mirecki do szkoły włoskich operzystów, przedstawiał więc ten sam styl muzyczny, co n. p. Mercadante. Kilka oper Mireckiego wykonano na scenach włoskich, na które Moniuszko nigdy nie miał się dostać. Z nauki tej musiał Żeleński wynieść pewne korzyści na przyszłość, musiały mu się udzielić ideały, które wyznawał Mirecki sam u Cherubini'ego. Później razem ze studyami uniwersyteckiemi w Pradze, dokąd wyjechał w roku 1859, prowadził tam dalej naukę kompozycyi u Krejczego, w Lipsku doskonalił się u Dreyschocka. I na tem jeszcze nie skończył studyów muzycznych, w Paryżu bowiem uczył się u Rebera. Niebywale długo, ale i niebywale sumiennie [illegible] się Żeleński w sztuce kompozycyi. W roku 1870, [illegible] wypadków wojennych we Francyi, wyjechał do kraju [illegible] w Warszawie. Mimo [illegible] 23 [illegible] lat [illegible] [illegible] stolicy. Kiedy Moniuszko, przedwcześnie dla muzyki polskiej, umarł w r. 1872, Żeleński miał prawo do sukcesyi po nim na stanowisko profesora teoryi w konserwatoryum. Później [illegible] dyr. Tow. muz. a kiedy Tow. muz. w Krakowie zorganizowało konserwatoryum, Żeleński z [illegible] objął zarząd tego [illegible] Konserwatoryum. [illegible] [illegible] lat [illegible] i [illegible]. Uczył [illegible] kontrapunktu, prowadził [illegible] fortepianowe, wykształcił organistów. Miał setki uczniów. Do nauki wnosił zapał nigdy niewygasający, wymagał wiele, ale sam i nie uznawał [illegible] środków [illegible] [illegible] jego mógł dla [illegible] tylko [illegible] i najlepszego, co on sam. Rzecz jasna, że od osobistości tej miary, jaką przedstawiał Żeleński, musiał promieniować na krakowski świat muzyczny silny wpływ. Był to wybitny dobroczyńca na kulturę muzyczną miasta, w którem trzeba było ożywiać na nowo te stare ideały artystyczne, jakie zaszczepiła tu jeszcze epoka Odrodzenia, z którą — zdawało się — splotły razem z tylu [illegible] sztuki [illegible] Krakowa Matejko, Szujski, Stanisław Tarnowski, Asnyk i Żeleński — [illegible] Krakowa w [illegible] ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku. Koroną tej może ostatniej wspaniałej manifestacyi był pięćsetletni jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Twórczość kompozytorska Żeleńskiego zaczęła się pod znakiem [illegible], podobnie jak Moniuszki. Kiedy Moniuszko puszczał w świat pierwsze swoje utwory do tekstów Mickiewicza w roku 1838 i potem pierwszy Śpiewnik domowy w r. 1843 nie zdaliśmy w [illegible] nieszczęścia [illegible] artystycznej. [illegible] w roku 1860, kiedy Żeleński debiutował jako [illegible] (Gdy [illegible]; Sen Mickiewicza; Noc [illegible]) [illegible] mieli już do wyboru około 200 pieśni Moniuszki, pieśni Mireckiego, Komorowskiego, [illegible] i [illegible] innych kompozytorów. [illegible] już [illegible] polskiej, [illegible] pod względem [illegible] był dość wysoko. Żeleński [illegible] w [illegible] [illegible] i [illegible] polskości w [illegible]. O[illegible] n. p. [illegible] z cyklu 7 »Czarnobylskie [illegible] pieśni«, do słów Bohdana Zaleskiego, jest już klasycznie doskonałym utworem o tak charakterystycznie polskiej [illegible], że może uchodzić wszędzie za [illegible] typowy przykład muzyki polskiej. A [illegible] [illegible] [illegible] op. 13 [illegible] [illegible] wdzięku, [illegible] się rozlega... »Czarnobylska« wykazała temperament kompozytora, »Rojenia wiośniane« jego lirycznę inwencyę. W pieśniach Żeleńskiego przeważa [illegible] i czczy. Wiele z nich ma melancholijny wyraz [illegible] w tej pieśni [illegible] n. p. »[illegible]« op. 19. Wpadają w nie także i pogodne [illegible] lub [illegible], n. p. »Jaskółka« lub »Marzenia [illegible]«. Kiedy się przechodzi wszystkie pieśni Żeleńskiego, jedna po drugiej, idea przewodnia [illegible] Żeleńskiego, [illegible] z nich wyraźnie. Oto [illegible] [illegible] na Parnasie [illegible] w r. 1860 wyjechał [illegible], jakie w r. 1842 [illegible] do »Śpiewnika domowego« Moniuszko. Szopen — nie [illegible] małych przedstawicieli ich dzieła. Przez Polskę, przez wielkie [illegible] na świat szeroki, nie odwrotnie. Żeleński czadził dobrze, że jeżeli kompozytor polski ma zdobyć [illegible] serca, to zdobędzie je nie przy pomocy kosmopolitycznie [illegible] środków wyrazowych, ale jedynie za pośrednictwem rodzimego języka muzycznego. Naśladowców Schuberta i Schumanna, Wolffa czy Regera, Debussy'ego czy Pucciniego nie [illegible] żaden kraj [illegible] z [illegible] i ma własnych [illegible]. [illegible] więc od wszystkich [illegible] Żeleńskiego, jak [illegible] z [illegible], na której [illegible], [illegible] wyraz muzyki naszej [illegible] bardzo [illegible], środki [illegible] i akompaniamentu umyślnie umiarkowane. Żeleński był [illegible] Glucka i [illegible] to [illegible] [illegible] [illegible] się do najkosztowniejszych [illegible] [illegible] pod względem [illegible] stylu jak [illegible] czynników. [illegible] [illegible], [illegible] jako [illegible] [illegible] w [illegible]. Sprawiedliwie zaś Żeleńskiego do [illegible] tak [illegible], [illegible] jak do »Zwiedzin« (słowa Tetmajera) i »Pieśni Jeruzalem« (do [illegible] ballady Krasińskiego). Po Mo[illegible] [illegible] Żeleński [illegible] pieśni [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] sposobem [illegible] tekstu wskutek przeciągnięcia jakiejś nuty, nadesłanej synkopy lub przestawienia akcentu. W miejscach takich nie o błędach możemy mówić, ale o pewnych psychicznych właściwościach talentu muzycznego Żeleńskiego.

Chociaż nieraz zdarza się słyszeć zdanie, że pieśń była główną formą twórczości Żeleńskiego i że w niej wypowiedział się kompozytor najpełniej i najdoskonalej, to sądy takie należy skorygować na korzyść zarówno muzyki instrumentalnej Żeleńskiego, jak jego oper. Oba te wielkie działy jego twórczości przedstawiają się bardzo wybitnie.

W zakresie twórczości złożył Żeleński świadectwo swoich najpoważniejszych aspiracyj kompozytorskich na polu muzyki fortepianowej, wydając jako op. 5. sonatę u Ricordi'ego w Medyolanie. Opanował już wtedy gruntownie zasady tej formy, miał poczucie stylu i zasób własnych myśli. Żeleński jako jeden z pierwszych po Chopinie kompozytorów polskich zaczął uprawiać większe formy muzyki instrumentalnej. Jemu to wogóle zawdzięczamy stworzenie podwalin pod polską muzykę kameralną wyższej wartości. Nie mamy jej bowiem n. p. kwartety Dobrzyńskiego lub Moniuszki.

Począwszy od dzieła 20, Sonaty a-moll na fortepian, szuje się [illegible] szereg wielkich, poważnych kompozycyj Żeleńskiego. Zaraz po niej nastąpiły warjacje na kwartet smyczkowy na własny temat (op. 21), potem Trio (E-dur op. 22) na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, wreszcie świetny kwartet op. 28 i [illegible] na skrzypce i fortepian op. 30. Wszystkie te kompozycye [illegible] styl i treść muzyczną pełną nastrojowości. W równej niemal mierze ulegał Żeleński wpływom klasyków jak romantyków. Sonata skrzypcowa [illegible] w sobie najsilniej ślad wyraźny muzycznych poezyj Schumanna. Później przechyliła się [illegible] wpływów na Żeleńskiego ku Brahmsowi. Styl Żeleńskiego uklasyczniał się jeszcze bardziej. Widać to już w kwartecie op. 42 szczytem zaś tej ewolucyi jest kwartet fortepianowy c-moll op. 61. Drugą sonatę na skrzypce i fortepian skończył Żeleński mając osiemdziesiąty rok życia. Kiedyśmy ją poznawali w czasie powstawania jej [illegible] nas [illegible] siłą wyrazu muzycznego, ciepłem inwencyi poetycznej, przepysznym sposobem wykończenia i bogactwem dźwięku. Jej *andante sostenuto* stanęło na wysokości najlepszych pomysłów lirycznych Żeleńskiego. W całej historyi muzyki nie naliczymy wielu kompozycyj tej wartości, pisanych w nestorowych latach autorów.

Kompozycye orkiestralne Żeleńskiego obejmują kilka cennych dzieł. Są to w największej mierze utwory o charakterystycznych polskich cechach. Barwna świeżością ozonu w tematach tatrzańskich uwertura koncertowa »W Tatrach« op. 27 i kilka tańców (polonez, krakowiak, kujawiak op. 47 wielki polonez op. 45) wzbogaciło programy polskich koncertów symfonicznych o bardzo efektowne punkty. Werwa muzyczna tych utworów i świetna zawsze konstrukcya jest wystarczającym równoważnikiem pewnych braków pod względem instrumentacyi, którą Żeleński, zaprawiony w technice instrumentowania przedewszystkiem na symfoniach Beethovena traktował dość schematycznie. Najwięcej po [illegible] barwności orkiestrowej miał Żeleński w uwerturze »E [illegible]«. Dwie symfonie, z których drugą utworzył Żeleński w r. 1911 i uzyskał nagrodę za nią na konkursie Filharmonii warszawskiej w r. 1912, wieńczą jego działalność symfoniczną. Druga zwłaszcza symfonia wywarła nacięciem swoich myśli przewodnich i bogactwem środków opracowania silne wrażenie.

Jedno z naczelnych miejsc w szeregu polskich koncertów fortepianowych zajmuje wirtuozyjnie świetny, niezmiernie szlachetny w duchu koncert Es-dur op. 60 Żeleńskiego. Trud każdego pianisty który przejęwał sobie tę wielką kompozycyę był zawsze opłacony sowicie wynikiem artystycznym jej odtworzenia. Do koncertowych utworów fortepianowych Żeleńskiego należą jeszcze utwory [illegible]: Grand scherzo de concert op. 35, waryacye op. 62 i kilka drobniejszych utworów popisowych.

Nie sposób wprost omówić na tem miejscu, lub bodaj wspomnieć wszystkie inne kompozycye Żeleńskiego. Nie wolno jednak pominąć w tym szkicu utworów takich jak: Wielka kantata jubileuszowa na 500 lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak marsz żałobny na sprowadzenie prochów Mickiewicza, jak utwór p. t. Roma (op. 65 parafraza na dwa tematy Chopina na tle poematu Z. Krasińskiego) jak »Andante funebre« op. 35 (na orkiestrę), jak 25 preludyów organowych (op. 38), jak wreszcie dwie msze wokalne, kantaty kościelne i jedno chóry męskie.

Jak na polu pieśniarstwa przypadło Żeleńskiemu w historyi muzyki polskiej miejsce zaraz po Moniuszce, tak też analogiczne stanowisko zdobyły Żeleńskiemu, obok twórcy »Halki«, [illegible] dzieła muzyczno-dramatyczne. Żeleński nie był w istocie urodzonym kompozytorem teatralnym. Był zanadto lirykiem i muzykiem absolutnym, ażeby mógł w pełni zobiektywizować się wobec nieubłaganych wymagań kulis i rampy scenicznego. Jego czysto umysł muzyczny za mało miał danych do [illegible], a wyrafinowanej w używania środków dźwiękowo-plastycznych, kalkulacyi [illegible] muzycznej. Niezbędnem musi być te najwyższy rodzaj talentu muzycznego, ta [illegible] niejako aktorskiego ujmowania przedmiotu [illegible].

Ale mimo to mają: »Konrad Wallenrod« (1885) »Goplana« (1892), »Janek« (1900) i »Stara baśń« (1907) takie wartości muzyczne, że — wykonane z pietyzmem — muszą i dzisiejszego słuchacza polskiego zachwycać pod każdym względem. Opera polska po Moniuszce nie może poszczycić się dziełami, w których zasób muzyczny byłby większy od kamiennej jakby i groźnej powagi ustępów Konrada Wallenroda, które miałyby więcej czaru melodyjnego i [illegible] od cudownego romansu Kirkora lub powiewnego walca Goplany, więcej sentymentu [illegible] od piosnki Alliny w »Goplanie«, więcej junackiej hardości, niż mają jej chóry w »Janku«, [illegible] niż [illegible] Bronki i Janka, które [illegible] [illegible] majestatyczną archaiczność stylu i godność wyrazu muzycznego, [illegible] »Starej baśni«. Historya muzyki polskiej zawsze będzie wielbiła Moniuszkę za to, że nie poddał się pod kuratelę Verdi'ego, czy Meyerbeera, zawsze będzie [illegible] w Żeleńskim tę siłę charakteru, jako kompozytora, z jaką [illegible] się [illegible] dramatu muzycznego Wagnera, który — wraz [illegible] stwa nad Żeleńskim — byłby [illegible] zupełnie jego indywidualność i odebrał talentowi jego wszelkie znamiona polskości. W jakże ogromnym [illegible] błędzie my, którzy [illegible] załamywaliśmy ręce nad tem, że muzyka polska nie nawiązuje się zupełnie ze stanem muzyki na Zachodzie. Jeżeli za cenę pewnego konserwatyzmu w środkach muzycznych da się ocalić polskość duszy muzyki naszej, — to konserwatyzm ten jest największą cnotą kompozytorów naszych. Nie wolno nam zaprzedawać ducha narodowego za efemeryczne nowalie, za wszelki i perwersye futurystyczne [illegible] jakiejkolwiek rodzaju. Żeleński stał na straży narodowego pamiątek kościoła w swoich pieśniach, w [illegible] i instrumentalnych utworach. Był [illegible] nieugiętość zasad estetycznych. Wiedział dobrze o tem, że styl jego muzyki i środki ekspresyi nie wyniosły przed jego epoką. Widział, jak niemi [illegible] można łatwy poklask zdobyć. Ale nie dbał o to. Nie starał się [illegible] swojej duszy na zapał mody, nie szukał Mecenata, którym mu dał możność zdobycia [illegible] młodych. Miał swoją, jako kompozytor spełniał z domu stoczną wiarą w ideały sztuki, którą [illegible] na świecie byli: Bach, Gluck i Beethoven. Nie [illegible] w dziełach Żeleńskiego [illegible] [illegible] warunków muzycznych Krakowa, [illegible], ale [illegible] — w latach [illegible] [illegible] i twórczej Żeleńskiego — pod względem [illegible], [illegible] do [illegible] tych kompozytorów. A jednak, mimo braku opery i stałej orkiestry, to napisał Żeleński i cztery dzieła sceniczne i szereg utworów symfonicznych.

To, co Żeleński [illegible] społeczeństwu polskiemu, zmienia je [illegible] w nim jednego z najabsolutniejszych [illegible] Narodu na niwie jego kultury duchowej. Ostatnią pracą była twórczość Żeleńskiego. [illegible] we [illegible] ideały ludzkie. [illegible] [illegible] [illegible] Ojczyzny i [illegible] w sam przeddzień śmierci jeszcze [illegible] koncerta. Tym hejnałem siły i radosnej wiary pożegnał się z nami.

Zdzisław Jachimecki.

... w parę dni później to głównem głosowaniem — tak, aby ich głosy można osobno obliczyć i aby wynik głosowania głównego nie był przez nie zamącony. Polska liczyła na to, że znaczna część przybyszów oświadczy się za Niemcami i że ich obliczenie osobne pozwoli lepiej ocenić, za kim głosuje ludność tubylcza, ze Śląskiem zrosła.

Anglia — a mianowicie jej przedstawiciel lord Harding — przeforsowała inną zasadę. Stanowiska Anglii nie taił podobno Lloyd George przed ks. Sapiehą i motywował je tem, że Niemcy grożą krokami rozpaczliwymi (wybuchem powstania i możliwością wojny ogólnej) — a Anglia chce za każdą cenę pokoju. Argument ten jest oczywiście pozornym; kto chce Niemcom pomódz, zawsze pretekst znajdzie. O wybuchu wojny ogólnej, a nawet rewolucyi na Śląsku z powodu sprawy stosunkowo tak drugorzędnej, niema mowy! Ale widocznie przedstawiciele innych mocarstw poszli za Anglią. Chcemy wierzyć i wierzymy silnie, że Francya broniła naszej pozycyi do ostatniej chwili.

Natomiast zdaje się, że uzyskaliśmy z pomocą Francyi sukces co do innej kwestyi plebiscytowej, t. j. co do nie odraczania terminu głosowania. Niemcy żądały jego odroczenia — zapadła znowu to decyzya, że odbędzie się ono dnia 20 marca i to chyba ostatecznie! Jest to niewątpliwie zasługa p. Juliusza Cambon'a, przedstawiciela Francyi, że uzyskał od Anglii i od innych mocarstw zgodę w tak ważnej dla nas kwestyi.

Porażki naszej co do osobnego głosowania emigrantów nie należy zbyt pesymistycznie przeceniać. Jeśli ostatnie obliczenia polskie są prawdziwe, liczba emigrantów nie przekroczy 150 000, co na ogólną liczbę miliona głosów nie jest cyfrą dużą. Zwłaszcza, że i między emigrantami pewna część (zdaje się około 20—30 000) głosować będzie za Polską. Osobne obliczenie lub dzielenie nie ma tak wielkiego znaczenia, jak sądziliśmy z początku. Decydującego wpływać nie może. Znaczenie naszej porażki leży raczej na polu moral...

... sprowokowawszy ataku, oba rządy porozumieją się w celu obrony swojego terytoryum oraz słusznych swoich interesów w granicach określonych we wstępie.

4) Oba rządy zobowiązują się porozumiewać przed zawarciem nowych układów, dotyczących ich polityki w Europie środkowej i wschodniej.

Prace nad zawarciem specyalnego układu, wymienionego w punkcie drugim, dobiegają końca i zostaną w najbliższym czasie podpisane.

Warszawa 23 lutego.

(East Express). Przed wyjazdem do Londynu [illegible] Briand zakomunikował przedstawicielom prasy, że nastąpiło zupełne porozumienie francusko-polskie we wszystkich kwestyach politycznych, gospodarczych i finansowych. Korespondent *Przeglądu wieczornego* donosi, że fakt zakomunikowania tej wiadomości prasie, zrobił wielkie wrażenie w świecie politycznym, jako dowód, że rząd francuski przywiązuje wielką wagę do porozumienia z Polską.

Paryż 23 lutego.

(PAT.) Ajencya Havasa donosi:

Niektóre dzienniki utrzymują, że Anglia poczyniła pewne zastrzeżenia co do klauzul politycznych i wojskowych układów francusko-polskich. Wobec tego ambasada angielska dementuje te pogłoski i oświadcza, że są one pozbawione wszelkiej podstawy. Angielskie koła dyplomatyczne uważają przedstawiony im układ za solidną gwarancyę utrzymania pokoju w Europie środkowej.

Warszawa 23 lutego.

(Tel. pryw.) Jak donosi *Rzeczpospolita* z Paryża pod datą 19 b. m. konferencya wojskowa, w której brali udział marszałkowie Foch i Petain, oraz jenerał Weygand i minister wojny Barthou, [illegible] ułożeniem konwencyi wojskowej. Ponieważ konferencje są jeszcze bliższe [illegible] polskimi i francuskimi, przeto jenerał Sosnkowski odroczył swój naznaczony już powrót do Warszawy na kilka dni. — Wedle tego samego źródła p. ...

... aż najwięcej zbliżoną do powyższej. Rada ambasadorów otrzymała zawiadomienie, iż rząd angielski zobowiązuje się wysłać 4 bataliony wojska na Górny Śląsk do dyspozycyi komisyi plebiscytowej.

Czyżby prawda?

Kuryer poranny donosi: Czeski minister spraw zagranicznych Benesz, w rozmowie z przedstawicielem Agence Economique oświadczył dosłownie co następuje: »Eksploatacya terenów naftowych w Galicyi jest bardzo obiecująca. Co do tej części okolicy galicyjskiej, która wchodzi nam (rzyt...) na dokoła Borysławia (*autour Borysław*) Francya może liczyć na naszą życzliwą współpracę«.

Oświadczenie ministra czeskiego, o ile jest autentycznem, byłoby bardzo niepokojące. Ponieważ niewiadomo nic o tem, jakoby rząd polski prowadził bezpośrednie rokowania z Czechami w sprawie terenów naftowych, przeto pozostawałoby tylko jedno przypuszczenie, a mianowicie, że Czesi otrzymali lub też liczą na otrzymanie udziału w eksploatacyi naszych pól naftowych przez Francyę. Udział ten w tej formie jest dla Polski niedopuszczalny. Czechy cierpią na brak nafty i konieczność nabywania jej od Polski, stanowiła atut w ręku naszego rządu przy rokowaniach o traktat handlowy z Czechami. Jeżeliby się okazało że Czesi przy pomocy Francyi obejść mogą bezpośrednio rokowania z Polską w tej sprawie, oznaczałoby to ogromne osłabienie naszej pozycyi w pertraktacyach ekonomicznych. W sprawie tej konieczne są natychmiastowe wyjaśnienia ze strony kompetentnej tem bardziej, iż wątpimy, by w sejmie znalazła się większość, któraby sankcyonowała tego rodzaju tranzakcyę. Chcemy przypuszczać, że enuncyacya p. Benesza, o ile — powtarzamy jest autentyczna, — stanowi raczej wyraz pobożnych życzeń czeskich. W każdym razie o wykrawywaniu jakiegoś terenu naftowego na obszarach polskich dla Czech, mowy być nie może. Nie jesteśmy afrykańskim państwem, w którem poszczególne państwa zakreślają sobie »sfery wpływów«. Wpływy zaś czeskie we wschodniej Małopolsce, to przygotowanie jej pod budowę korytarza czesko-rosyjskiego.

... [illegible] ... aby ... [illegible] ... mógł wpływać na rokowania w Rydze ... [illegible] ... do Rygi ... [illegible] ... w niedługim czasie będę mógł podać do wiadomości Izby ich wyniki.

Podnoszono zarzuty co do sprawności rządu w organizowaniu plebiscytu na Górnym Śląsku. Sprawa ta była zawsze największą troską rządu, który nie zaniedbał niczego, aby ... umożliwić ludności swobodę wypowiedzenia swojej woli. Mówi się nieraz o łączności podpisania pokoju w Rydze ze śląskim plebiscytem. Dla przyszłości pokoju cenimy wszelkie ... społeczeństwa, zgodne z interesami i godnością państwa, ale mamy pewność że polska ludność Śląska w dniu głosowania da manifestacyjnie wyraz swojej woli powrotu do Macierzy, bez względu na to, czy rokowania w Rydze zostaną ukończone czy nie. Definitywny termin głosowania możemy uważać za ustalony.

Wiadomości ... państwa w Paryżu ... informacye, rozsiewane przeciw nam we Francyi i stworzyła atmosferę ... w której ... rokowania, prowadzone przez ... Sapiehę i Sosnkowskiego. Przybrały one obrót pomyślny. O wynikach ... w najkrótszym czasie. Ponadto w rozmowach w Paryżu przedstawiciele ... z przedstawicielami rządu i społeczeństwa francuskiego, obalona została legenda o naszym imperializmie, szowinizmie i nietolerancyi. ... że Polska nie widzi dla siebie ... w akcji wywrotowej i anarchii, ... z drugiej strony nie chce mieć nic wspólnego z reakcyą, ... do nawiązania ... stosunków z ... i, o ile oni usuną przeszkody, które są po ich stronie.

Dalej przemawiał prezydent ministrów ... o długach zagranicznych ... około zestawienia dochodów i wydatków. Następnie wspomniał o reorganizacyi urzędów, przyczem stwierdził, że rewizya ...

... w rządzie dotąd ... to ... decyzya ... stanowisko Polski ... które mogło ... szkodzić.

... dla rządu nie może być ... Sprawa ... Albo uważa się ... za odpowiedzialny i daje się mu silne poparcie, albo stawia się o rząd uwagi. Rządowi nie wystarcza, aby zaufanie do niego wyrażało się tylko w głosowaniu na sali posiedzeń, zaś aby ... tenże rząd był na każdym kroku ... W państwie polskiem nie powinno być dziś żadnego stronnictwa, któreby nie poczuło odpowiedzialności za państwo. Pragnę, aby ... tej odpowiedzialności było jedyną wytyczną przy głosowaniu. Jego wynik chce rząd uważać za obowiązującą wolę sejmu, która nakłada konsekwencye nietylko na rząd, ale i na ... a mianowicie na politykę stronnictw w sejmie i poza nim. Takiego rozwiązania sprawy domaga się rząd i wymaga tego również interes państwa.

Przystąpiono do głosowania nad rezolucyą p. Federowicza:

I. Sejm stwierdza potrzebę normalnej pracy w kierunku urzeczywistnienia najważniejszych zadań polityki zagranicznej i wewnętrznej;

II. Sejm w zaufaniu do rządu, że usilnemi staraniami i skuteczną pracą zdoła rozwiązać te zagadnienia, udziela mu do tego celu swego poparcia.

Rezolucye te przyjęto większością głosów.

Po uzasadnieniu wniosku nagłego przez p. Zagórskiego w sprawie bojkotu papierów pożyczek państwowych przez banki warszawskie, min. Nowodworski zawiadomił, że zostało aresztowanych 3 dyrektorów Banku Kupiectwa polskiego, poczem wniosek jednogłośnie uchwalono.

W końcu X. Lutosławski uzasadniał wniosek wszystkich stronnictw, zastrzegający w przeciwieństwie ... plebiscytu ... 20 marca i równoczesnemu głosowaniu emigrantów, oraz oznajmiający, że Polska innego rozstrzygnięcia nie uzna, jak tylko ten, jakie wypadnie z plebiscytu. Nagłość i meritum wniosku przyjęto jednogłośnie. — Następne posiedzenie w piątek.

żał się do budynku teatru im. Słowackiego, rozległy się dźwięki marsza żałobnego Chopina, który odegrała orkiestra Związku muzyków polskich pod batutą p. Wallek-Walewskiego, umieszczona na tarasie teatralnej. Wśród tych

NYCH. Okręgowy Urząd ziemski w Krakowie przypomina, że do podań o udzielenie zezwoleń na prywatną parcelacyę majętności tabularnych należy dołączać także odpis, względnie liczbę upoważnienia, udzielonego danemu inżynierowi

nych, jak również od zainteresowanych firm. Na redaktora „Księgi Adresowej“ został powołany inż. A. Sroka, administracya zaś „Księgi“ mieści się w Warszawie przy ul. Bagatela Nr. 12.

WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI.

Wielkie to musi być szczęście, gdy artysta doczeka sędziwego wieku i może spojrzeć na dzieło żywota swego. Raduje się tedy dusza twórcy, gdy jest jej danem posłyszeć, jak po kilkudziesięciu latach powraca ku niej od chat, albo i sal koncertowych, jej własna radość życia i tęsknota, dola i niedola w czarowną melodyę zaklęta. Takiego szczęścia zaznał Władysław Żeleński i to było niewątpliwie dla niego najserdeczniejszą nagrodą za długoletnią twórczość kompozytorską.

Władysław Żeleński, urodzony w r. 1838, już w najrańszej młodości swej zdradzał poryw ku muzyce. Po studyach filozoficznych, odbytych w Pradze, otrzymał stopień doktora — i już jako znany i uznany autor wielu pieśni, wybitny znawca-teoretyk harmonii w kunszcie kompozytorskim, został powołany z Paryża na odpowiedzialne stanowisko dyrektora Towarzystwa Muzycznego w Warszawie.

Podczas gdy Władysław Żeleński pochłonięty jest cały pracą twórczą na gruncie warszawskim, Kraków artystyczny poczyna pulsować coraz żywszem tętnem: świat muzyczny koncentruje się w salonach słynnej podówczas pianistki i nauczycielki muzyki, pani Salomońskiej (Francuski), gdzie też częstym gościem bywała księżna Marcelina Czartoryska, ulubiona uczenica Chopina, jedyna i świetna intepretatorka wielkiego twórcy. Władysław Żeleński, choć nieobecny tu, śledził bacznie ten ruch i kiedy dawał się już dotkliwie odczuwać brak wielkiej szkoły muzycznej, przyjeżdża około roku 1880 do Krakowa na stałe i zakłada Konserwatoryum muzyczne, którego zostaje pierwszym i jedynym aż do dnia śmierci swej, dyrektorem. Życie artystyczne polskich Aten zarówno na polu malarstwa, literatury i muzyki staje się wielką podnietą dla niego — pisze „Konrada Wallenroda“, operę, którą w roku 1886 wystwia teatr lwowski, a w kilka miesięcy później słyszymy ją w Krakowie. Po tej dramatycznej, niesłychanie trudnej do wykonania, szerokiej, wagnerowskiej (jeśli można się tak wyrazić) instrumentacyi, słyszymy w kilka lat później bardziej śpiewne opery: „Goplanę“ i „Janka“, w których przepiękne arye stały się bardzo popularnemi.

Władysław Żeleński przedewszystkiem jako autor rozlicznych pieśni zdobył sobie nieśmiertelność. Zdradzają one gruntowną erudycyę kompozytorską autora i tę tajemną siłę duszy poety, która każe im przemawiać tak szczerze i głęboko do serc. Nieśmiertelnemi stały się przedewszystkiem jego „Zawód“ i „Grajek“, który tak pięknie zilustrował w obrazie swoim Włodzimierz Tetmajer (własność pani T. Żeleńskiej). W myśl pierwszej zwrotki tej cudnej pieśni:

Gdyby mi też Pan Bóg dał,
By mnie jaki grajek chciał,
Gęśle za nim-bym nosiła,
Chlebabym mu uprosiła,
Niechby jeno grał,
Niechby jeno grał,

grał wielki pieśniarz duszom wrażliwym, grał dolę i niedolę, grał miłość i tęsknotę, a muzyka jego znajdowała zawsze gościnę w cichych, a często tak bardzo samotnych domkach serc naszych...

Twórczość kompozytorska Władysława Żeleńskiego jest w historyi muzyki polskiej jakby odnową romantycznych prądów — ogniwem, łączącem muzykę epoki Stanisława Moniuszki z pieśnią lat z okresu Galla i Noskowskiego i tą dzisiejszą melodyą dusz młodych: Karłowicza, Różyckiego, Lipskiego, Jachimeckiego, Walewskiego, Raczyńskiego i in.

Dom świetnego kompozytora był w Krakowie do ostatnich lat punktem, przez który przesuwali się wszyscy najwybitniejsi koncertanci, nawiedzający nasze miasto — tam można było posłyszeć tę najszczerszą, bo bezpośrednią i niepodyktowaną żadnym przymusem muzykę polskich i zagranicznych artystów.

Obok pracy twórczej Władysław Żeleński, jako pedagog, oddawał swe niespożyte siły i energię na usługi tych, którzy umiłowali muzykę i poświęcali się jej — choćby przypomnieć tylko fakt, że założone przez niego Konserwatoryum muzyczne wydało przez te kilkadziesiąt lat niejedno pokolenie twórców i odtwórców.

Zawsze chętny do pracy i mimo sędziwego wieku nigdy niestrudzony, pozostał Władysław Żeleński do końca na stanowisku dyrektora tej instytucyi. Charakter prawy i szlachetny, usposobienie zawsze pogodne, a nawet — rzec można — do ostatnich chwil zabarwione humorem, zjednywały mu licznych przyjaciół. Jednak największą i najbogatszą (jak wspomniałem) nagrodą dla tego Nestora muzyków polskich i dla wielkiego artysty było to, że doczekał się tryumfu sztuki swojej u pokolenia, które wychował.

Mam żywo przed oczyma portret Władysława Żeleńskiego, rysowany przez Artura Grottgera (własność pani T. Żeleńskiej). Mężczyzna w sile wieku, oczy z pod brwi krzaczastych zapatrzone w bezkres, skąd idzie ku niemu tajemna muzyka jego duszy... Czas jednak i nieustanna praca wielkiego kompozytora dokonały swego: starość pochyliła i przyprószyła siwizną tę szlachetną i zawsze buńczuczną postać i wyorała bruzdy na obliczu, ale oczy, w których płonął jego świat wewnętrzny, nieśmiertelny, te oczy pozostały zawsze takie, w jakie patrzył był niegdyś Grottger — i te głębokie oczy pozostaną na zawsze w pamięci wszystkich tych, którzy go znali.

Władysław Żeleński przeżył 83 lat — dziś z jego śmiercią schodzi do grobu jeden z tych nielicznych już i ostatnich, którzy pamięcią sięgali epoki wielkiego romantyzmu w Polsce — on z niego wyrósł, w nim znalazł źródło swych natchnień i jemu pozostał wiernym do końca.

Odszedł — — ale pieśni jego żyć będą, trafią do pałaców i chłopskich lepianek i w sercach przyszłych pokoleń zbudują mu pomnik trwalszy od spiżu.

ANTONI WAŚKOWSKI.

80

zalegająca ulice. Wicher szalony osuszał trotuary, wstrząsał dachami domów, że omal ich nie rzucił na bruk i dawał kamienicznikom dowody, iż należy jeszcze podwyższyć czynsze, w przeciwnym bowiem razie, o ile zostanie utrzymany obecny stan dewastujący kamienice, to niebawem zaczną lecieć na przechodniów dachy i gzymsy. Było nieco po trzeciej, ale żywego ducha nigdzie nie spotkać. Policyant skrył się dokumentnie, a stróże nocni tulili się do murów, aby się skryć przed wichrem i nie rzucać się nikomu w oczy. Potworna ciemność leżała nad miastem. Zamarły olbrzymie lampy łukowe, stuliły się słabiuchne gazówki, jeno kiedy niekiedy skromna lampka elektryczna sklepu rozświecała drogę.

Mój Boże! I takie ciemności w Warszawie! W tej Warszawie, która pławiła się w potokach elektryczności; taka cisza w tej Warszawie, która nocą tętniła życiem, której ulica zawsze przelewała się od tłumów, która promieniowała radością i beztroskliwością. Porywała i oszołomiała. Pamiętam, kiedy po jej zajęciu przez Niemców, w jednym z kabaretów rosyjskich solista Sokolskij (rozstrzelany następnie przez bolszewików) zaczął śpiewać treny policmajstra warszawskiego, kończące się refrenem, iż bez Warszawy żyć nie może — sala zatrzęsła się od oklasków, a wśród publiczności rosyjskiej słychać było szlochy i wzdychania.

Nagłe, mocne bryźnięcie w twarz błotem przez rozszalały samochód przerwało me reminiscencye i przywróciło do rzeczywistości. Oto do rozlicznych braków dochodzi jeszcze zatrważający brak węgla, a Magistrat oszczędza nawet na oświetleniu ulic.

Dlatego też każdy przed północną godziną policyjną radby już znaleźć się w domu, a chwalą sobie jedynie stan obecny młodzieje i

warsztatów pracy i od pracy odwykłych.

Demobilizacya wywołała wiele konfliktów osobistych u tych, którzy przez lata całe bawili na froncie, wytworzyli odrębną psychologię ryzyka „va banque", psychologię nie mieszczącą się zgoła w żmudzie dnia codziennego człowieka cywilnego. Jeszcze syn rolnika, czy robotnik, wróci łatwiej do dawnych warsztatów pracy, ale co robić z młodzieżą, co z ław szkolnych, czy akademickich, poszła w pole, a dzisiaj opuszcza wojsko po siedmiu latach z urobionemi poglądami, z poczuciem swej wartości i siły; ani posyłać ich do szkół, gdy odwykli od nauki i systematyczności, ani zniewolić ich do zajęć podrzędnych handlowych, kiedy niedawno jeszcze operowali milionami pod własną odpowiedzialnością, ani na stanowiska urzędnicze, z natury rzeczy podrzędniejsze, zniewalające do posłuchu, gdy przyzwyczaili się oni do komenderowania, jednem słowem, kwestya demobilizowanych jest niesłychanie skomplikowaną i palącą.

Sprawie tej poświęci premier Witos przy ekspose, które ma wygłosić w tym tygodniu, specyalną uwagę. Wogóle w życiu politycznym tydzień obecny będzie bardzo bogaty w wydarzenia olbrzymiej doniosłości politycznej. Żeby wspomnieć jeno sprawę głosowania nad konstytucyą.

We czwartek pójdzie na pierwszy ogień kwestya senatu, t. j. §§ 35 i 36 projektu konstytucyi. Są wszelkie widoki, że tym razem głosowanie się odbędzie i już nie znajdą się sposoby odwleczenia sprawy. Wielkie wrażenie w sferach poselskich zrobił list wysłany na ręce p. Marszałka przez zjazd pracowników plebiscytowych na Śląsku, nawołujący Sejm do poparcia akcyi plebiscytowej przez uchwalenie kon-

Tymczasem rządy sowieckie obawiają się, że kapitał europejski zniszczy im „raj sowiecki". Obawiają się, iż gdy oazy kapitalistyczne wprowadzone zostaną do socyalistycznego gospodarstwa w formie rozmaitych koncesyi, to rozpocznie się powrót Rosyi do kapitalistycznego ustroju.

Dyskusya na ten temat staje się coraz więcej interesującą, tem więcej, że sam Lenin na zjeździe sowietów w Moskwie oświadczył, że dzisiejszy sposób produkcyi nie odpowiada ustrojowi komunistycznemu.

Tymczasem oficyalna Rosya czyni przygotowania na przyjęcie kapitałów amerykańsko-europejskich, a oddział koncesyjny głównego leśnego komitetu („Gławleskoma") rozpoczął pracę nad wyznaczeniem obszarów leśnych na Syberyi i w północnej Rosyi europejskiej, które mają być oddane do eksploatacyi koncesyonaryuszom.

* * *

Anglia, Francya i kraje zamorskie, jak Ameryka, Australia i t. d. niecierpliwie czekają na otwarcie rynków zbytu we wschodniej i środkowej Europie, nie wiedzą bowiem, co zrobić mają ze swoimi produktami.

Zapasy niesprzedanego cukru z tegorocznej produkcyi Stanów Zjednoczonych wynoszą 1¹/₂ miliona ton. W Australii leżą milionowe zapasy wełny. W Stanach Zjednoczonych stoi bezczynnie 32 wysokich pieców, a główne kopalnie miedzi postanowiły zmniejszyć produkcyę do połowy. Brazylia cierpi dotkliwie wskutek silnego ograniczenia wywozu kawy i spadku cen gumy. To samo dzieje się w Urugwaju i Japonii, także na Kubie panuje ciężki kryzys. Porty zaś hawajskie są do tego stopnia przepełnione towarami, że władze tamtejsze postanowiły usuwać z doków wszystkie towary, le-

żące ponad pewien określony przeciąg czasu. Zastój w krajach zamorskich spowodował zniżki frachtowe tak, że przedsiębiorstwa okrętowe pracują teraz ze stratą.

Brak rynków zbytu i ogólny spadek waluty spowodował gwałtowne obniżenie cen na wszelkiego rodzaju produkta. I tak, cena produktów rolnych w Stanach Zjednoczonych obniżyła się od 1 lipca b. r. w porównaniu z zeszłoroczną — według statystyki podanej przez ministra rolnictwa Meredith'a na zjeździe bankowym — o 2 i pół miliarda dolarów. Według innych źródeł spadek ten sięga nawet sumy 6 miliardów dolarów.

We Francyi obniżyła się dość znacznie cena wełny, a są dnie, że na giełdzie paryskiej nie notuje się tego artykułu z powodu braku obrotów. W Paryżu daje się odczuwać ogólny spadek cen artykułów pierwszej potrzeby. Tak np. cena obuwia, materyałów odzieżowych i ubrań spadła o 30 do 40 proc.

Jak stwierdza „Przegląd Gospodarczy" (nr. 1, r. 1921), już po raz drugi w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy idzie ku Europie fala spadku cen. Podobnie, jak za pierwszym razem (w maju i czerwcu) bierze ona swój początek w Ameryce.

* * *

Państwa muszą dostosować się do zupełnie nowych warunków, wytworzonych przez wojnę światową i rewolucyę rosyjską. Muszą one jeszcze wiele przejść, zanim zdołają dla swego życia społeczno-gospodarczego wytworzyć nowe formy organiczne, absolutnie inne, niż te, jakie istniały do roku 1914. Dopiero dokładne wżycie się w te nowe formy zdoła przybliżyć erę tak upragnionej przez wszystkich równowagi.

My, Polacy, mając przed sobą taką syzyfową pracę, jak odbudowa naszego kraju, powinniśmy czerpać otuchę w tem, że nawet państwa stokrotnie od nas bogatsze i w lepszych warunkach żyjące, nie mogły dotąd przyjść do równowagi po kataklizmie dziejowym.

H. M.

Opieka społeczna w Polsce w r. 1920.

Przed kilku dniami podaliśmy na łamach „Głosu Narodu" za „Przewodnikiem Społecznym" pewne daty, ilustrujące położenie robotników w Polsce. Dzisiaj możemy je uzupełnić na podstawie wywiadu „Kuryera Warszawskiego" z p. ministrem ochrony pracy i opieki społecznej, inż. Edwardem **P e p ł o w s k i m**, pomijając prace tego Ministerstwa, wyłuszczone w artykule poprzednim. Oto najważniejsze owoce pracy na tem polu:

Nierównomierne ustosunkowanie się popytu do podaży pracy na terenie Polski skłoniło Ministerstwo do zorganizowania „clearingu" pracy, t. j. kierowania robotników, przebywających w pewnych miejscowościach w nadmiarze, do warsztatów pracy w innych okolicach państwa, cierpiących na brak sił roboczych.

W dziedzinie opieki społecznej zorganizowano delegatury, mające na celu koordynacyę państwowej pomocy społecznej z samorządową i prywatną. Delegatury te, których trzynaście istnieje obecnie na terenie b. Kongresówki, a jedna w Małopolsce w Krakowie,

